

KAMIEŃNA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: Wczoraj i dziś lubelskiego regionalizmu • Rozmowa z Rektorem UMCS • Zostałem w Instytucie • Dla Lublina i Lubelszczyzny • Spór o Czechowicza • Biblioteka czeka na własny gmach • Zadanie: radzić i pomagać • I in.

DNI LUBLINA bez FAJERWERKÓW

BOLESŁAW RESCH

Poprosiliśmy o zabranie głosu Kierownika Wydziału Kultury PMRN. (Red.)

OBCHODY „Dni Lublina” zaczynają się stawać tradycją. Od lat kilku trwa proces „aklimatyzacji” tej imprezy w naszym mieście, wszczepiania jej w jego życie. Proces wbrew pozorom niełatwy, wywołujący w swoim przebiegu szereg sporów, dyskusji i powiedzmy otwarcie... po prostu nieporozumień.

Jedno ze źródeł nieporozumień tkwiło już w intencji tych, którzy około 5 lat temu podnieśli wrzawę na temat konieczności organizowania w Lublinie „Dni”, wówczas „Dniami Kultury” zwanych. A intencja była taka: „mają swoje „dni” Kraków, Wrocław, Gdańsk i inne grody, dlaczegożby u licha nie miał ich mieć i Lublin, gród co najmniej równie godny. Albożemy to sroce spod ogona wypadli? — Tak powstała myśl! I oto w trybie raczej administracyjnym poczęte zostały „Dni Kultury”. Godnością matki obdarzony został Wydział Kultury PMRN.

Dziecię narodziło się — rzecz można — raczej anemiczne. Nie przyniosło ze sobą na świat niezbędnej porcji witamin, a i nikt nowo narodzonemu nie pokwapił się z pomocą. Matce zabrakło cierpliwości i... pieniędzy, a ojcowie? Lepiej porzućmy złe wspomnienia! Po co nimi psuć jakżeż inny nastrój „Dni Lublina” anno 1961.

Koncepcja „Dni” w innym niestandardowym, lubelskim kształcie zaczęła powstawać podczas rocznego „wychnienia” w roku 1959. Wymykała ona z przepojonych rozsądkiem rozmów i dyskusji prowadzonych w Komitecie Miejskim PZPR i Prezydium MRN. Zdecydowano koncepcję tę wprowadzić w życie na inaugurację obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego w październiku ubiegłego roku, pod nazwą „Dni Lublina”, jako coroczną, stałą imprezę o szerokim zakresie. A więc już nie wyłącznie sprawa imprez artystycznych, możliwie jak najbardziej atrakcyjnych, wśród których zresztą Lublin „jako taki” traktowany raczej, jako tzw. „drugi garnitur”, ale możliwie wszystkie sprawy naszego miasta!

Powstała więc w skali krajowej instytucja raczej nowa, czego wyrazem było rozdanie poszczególnych dni różnym branżom i resortom. To istotnie stanowi dotychczas specyfikę Lublina w porównaniu z innymi miastami (a jest ich z każdym rokiem coraz więcej) organizującymi u siebie swoje „dni”. Biorąc pod uwagę konkretne możliwości, władze naszego miasta założyły realne, dalekie od wszelkiego taniego efekciarstwa, ramy „Dni Lublina”, w przekonaniu, że poszczególne środowiska Lublina wypełniać je będą kon-

(Dokończenie na str. 2)



Ostojni z czterech punktowców przy ul. Unickiej w Lublinie

NIEPOTRZEBNI KOLUMBOWIE BUDOWNICTWA

JERZY DOSTATNI

PRZED kilku miesiącami swego rodzaju sensację wywołał komunikat Stowarzyszenia Architektów Polskich o rozstrzygnięciu konkursu na budowę ruchomej sali Teatru Ziemi Mazowieckiej. Zatwierdzony do realizacji projekt nazwano „budowlą z powietrza”, chociaż fachowo nazywa się budynkiem pneumatycznym. A właściwie nie mieści się zupełnie w dotychczasowych pojęciach budowli czy budynku. Wygląda to jak pół balonu opadłego na ziemię, ani śladu cegły, wapna czy stali, a jednocześnie nie boi się ani deszczu, ani huraganu. Po prostu z gumowanej bawelny wykonuje się podwójną powłokę o kształcie czaszy, a pomiędzy obie powłoki pompuje się stale trochę sprężonego powietrza.

Nieznacznie podwyższone ciśnienie pomiędzy tymi powłokami wystarcza, aby całość utrzymała się w powietrzu. Wewnątrz czaszy można ustawić scenę, kilkadziesiąt krzeseł, garderoby itd. Montaż trwa zaledwie godzinę, całość jest lekka i łatwa do przewożenia.

Przydałaby się bardzo taka pneumatyczna sala i naszemu teatrowi. Ale chyba jeszcze bardziej należałoby ją polecić naszemu handlowi, który z podziwu godnym uporem nie nadaje od wielu lat za coraz szybszym rozwojem budownictwa mieszkaniowego. Zresztą bądźmy sprawiedliwi — nie jego tylko wina. Fakt faktem, że coraz więcej ludzi, mieszkając w nowoczesnych osiedlach naszych miast, przestaje odczuwać korzyści z za-

(Dokończenie na str. 6)

W ŚRODKU Europy leży państwo przypominające kształtem wielobok lub nawet koło, o powierzchni przekraczającej 300 tys. km², zamieszkałe przez około 30 milionów ludzi. — Państwem tym jest Polska. Położona między światem germańskim a ruskim na przestrzeni swej tysiącletniej historii kształtowała swą politykę zależnie od stosunków z tymi dwoma sąsiadami. W dziejach Polski, obok znaczenia sąsiadów dla jej losów, równie ważny, a może decydujący był fakt krzyżowania się na jej terytorium wpływów i kultur wschodniej i zachodniej Europy. Na styku dwu kręgów kulturowych formował się charakter narodu polskiego, jego idee i instytucje. Położenie

NA STYKU DWU KULTUR

GRZEGORZ L. SEIDLER

geograficzne Polski stwarzało wielkie trudności w utrzymaniu niezależności wobec siły i ekspansji sąsiadów, ale równocześnie przesądziło o szczególnych cechach jej narodu.

Od początku historii Polski na jej ziemiach krzyżowały się drogi kupców wschodnich i zachodnich. Okrężnymi szlakami docierali tu kupcy włoscy z zachodu przez Flandrię, z którą Polska pozostawała od XIII wieku w żywej wymianie towarowej. Ci sami Włosi równocześnie docierali do Polski od wschodu, ze swoich kolonii, położonych nad brzegami Morza Czarnego. Tu zetknęła się sztuka i architektura bizantyjska z zachodnio-europejską. Przez ziemie polskie biegła granica oddzielająca kościół rzymski od wschodniego; tu też kończyła się sfera wpływów alfabetu łacińskiego i rozpoczynały się obszary, na których obowiązywała cyrylica, rozpowszechniana pod wpływem Bizancjum.

W małym kościele na Zamku w Lublinie pieczołowicie przechowywane są obrazy i malowidła ściennie z XIV wieku, wykonane rękoma artystów bizantyjskich i ruskich. Podobną sztukę z tego samego czasu spotykamy w katedrze sandomierskiej. W czasie, gdy Bizancjum znacząco wyraża ślady w architekturze i malarstwie kościelnym, w Krakowie powstawał Uniwersytet Jagielloński, wzorowany na zachodnich ośrodkach akademickich.

Ale nie tylko w sztuce i w życiu gospodarczym krzyżowały się te wpływy. Ulegało im także rycerstwo polskie, wyrosłe z koncepcji zachodnich. Tak jak na Zachodzie uważało się ono za obrońców wiary, pielegnowało kult honoru, brało nawet udział w wprawach krzyżowych, ale równocześnie przyswajało sobie taktykę wojenną Wschodu. Zastosowanie pod Grunwaldem manewru tatarskiego, polegającego na pozornym wycofywaniu się oddziałów, umożliwiło Polakom oskrzydlenie i rozgromienie przeciwnika. Od XIV wieku bowiem na północno-wschodnich rubieżach naszego państwa osiedlają się już Tata-

(Dokończenie na str. 4)

Dni Lublina bez fajerwerków

(Dokończenie ze str. 1)

kretną i z każdym rokiem efektowniejszą treścią.

Pod tym względem ubiegłoroczne, inauguracyjne obchody 1000-lecia „Dni Lublina” zdały swój życiowy egzamin. Choć ubogie w imprezy typu rozrywkowego, stanowiły one poważny punkt startowy dla szerokiej aktywizacji mieszkańców Lublina. Motywem przewodnim „Dni Lublina 1960” była praca społeczna, konkretna praca nad upiększeniem miasta. Braли w niej udział studenci wyższych uczelni, żołnierze, uczniowie, kolejarze, pracownicy handlu i inni. Sądzą, że istnieje na pewno ścisły związek między „lubelskim czy-nem społecznym” wykonywanym w okresie między 9 i 16 października 1960 r. a budzącym już podziw w innych miastach Polski rozmachem i wartością udziału społeczeństwa naszego miasta w pracach, dzięki którym Lublin staje się z roku na rok coraz piękniejszy i schludniejszy. Przypomnijmy sobie chociaż historię przebudowy w br. Krakowskiego Przedmieścia, czy ul. Kunickiego.

W oparciu o zeszłoroczne doświadczenia, o dokonaną wnikliwie ocenę wartości, blasków i cieni zeszłorocznych DNI, władze zdecydowały w roku bieżącym zachować jako słuszną i wytrzymującą próbę życia koncepcję podziału poszczególnych dni dla odrębnych zagadnień. Jako nowe ustalone zostały odrębne dni dla kultury i... służby zdrowia (co stanowi zupełnie nowum, całkowicie bez precedensu, a zapewne jak najbardziej słuszone i celowe).

Program tegorocznych DNI LUBLINA, bogatszy od zeszłorocznego, na pewno nie zadowolili wszystkich, w szczególności zwolenników uczynienia już obecnie z „Dni” wielkiej ogólnokrajowej atrakcji.

Niewątpliwie ambicją naszą powinno być wypłynięcie na szersze, ponadlubelskie wody, ale sądzą, że ambicje znacznie wyprzedzające realne możliwości mogą łatwo przerodzić się, powiedzmy, w megalomanię. Bo chociaż, dla przykładu, nasz teatr im. J. Osterwy może śmiało pokazywać swój dorobek artystyczny na scenach nawet warszawskich, ale czy naprawdę mamy obecnie realne warunki na zorganizowanie i nadanie godnej oprawy jakimkolwiek festiwalowi teatralnemu? Choć klęę się, że byłaby to impreza szczególnie miła memu sercu, ale wolalabym, aby odbywała się w gmachu według nagrodzonego projektu inż. Bienkuńskiego, aniżeli o ścianę z zamkniętą przez władze budowlaną „wałką się” salą Filharmonii. Wolalabym też, by przyjezdni goście mogli zamieszkać w hotelach, gdzie gorąca woda w pokoju nie byłaby problemem.

Myśl przewodnią łączącą zasadnicze imprezy i wydarzenia „Dni Lublina” zawarta jest w hasle: „17 lat pokojowej i twórczej pracy miasta Lublina”.

Ucząc się czy bawiąc na imprezach „Dni Lublina”, oklaskując występujących artystów i amatorów, czy też krytykując takie lub inne niedociągnięcia, pamiętać będziemy o tym, że tam gdzie dziś oglądamy pokazy najnowocześniejszych osiągnięć fizyki czy chemii, było niedawno jeszcze szczerze pole, że Fabryka Samochodów Ciężarowych jest zaledwie 10-letnim, a Lubelski Dom Kultury o połowę młodszym „smarkaczem”, że to wszystko świeże, co nas w tym mieście otacza, cieszy a czasem denerwuje, ma akurat tyle wiosen, co tegoroczni maturzyści.

Równocześnie historycy, ba nawet archeolodzy mówić będą o przeszłości naszego dostojnego, a tak przez te 17 lat odmłodzonego grodu, a przewodnicy PTTK oprowadzać będą nas — lubliniaków po wiekowych zaułkach Starówki i nowoczesnej zabudowie Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniczej — abyśmy się nauczyli naszego Lublina, miasta, które kochamy, w którym żyjemy, a które — wstyd wyznać — nie zawsze dobrze znamy. Choćby nawet tylko dlatego warto organizować DNI LUBLINA.

W programie tegorocznych DNI LUBLINA zabraknie jednej pozycji, początkowo nawet planowanej. Nie będzie pokazu ogni sztucz-



5-12 X TYDZIEŃ WOJSKA POLSKIEGO

Wczoraj i dziś regionalizmu lubelskiego

ROMAN ROSIAK

REGIONALIZM — w tradycyjnym tego słowa znaczeniu — dzisiaj jest już muzyką przeszłości. Kiedyś, nie tak przecież dawno, można było „krzepić serca” widokiem ludu, chwalić jego zwyczaje i moralność, widzieć w nim „drzemiącego lwa”, przeciwstawić wieś miastu, wskazując na jej wyższość, cenić ją i naśladować. Cóż nam zostało z tych lat, skoro anno 1961 nawet Polonia amerykańska zastanawia się po występach Mazowsza (nota bene uprzednio gorąco oklaskiwanych), czy to jednak nie jest trochę wstyd pokazywać obcym rzeczy, które przecież nie są symbolem Nowej Polski, bo aż do upokorzenia przypominają nasz kraj rolniczy z okresu XX-lecia, stanowiący, dziś dla zagranicznych widzów i słuchaczy niewątpliwie swoistą egzotykę. I jak tu połączyć chłopskie sukmany i tańce z wizją kraju coraz wyżej pnącego się w hierarchii najbardziej uprzemysłowionych państw Europy? Nie da się zaprzeczyć, że „Śląsk”, „Mazowsze”, „Lubelskie” i inne zespoły, po pierwsze dawno przestały być ambasadorami kultury czysto regionalnej (o ile w ogóle kiedykolwiek nimi były), po drugie — również szybko stały się żywymi zażytkami czy nawet pewnego rodzaju anachronizmem w stosunku do kultury współczesnej. Proces zacierał różnic między miastem a wsią spowodował już i powoduje nadal ogromne przemiany w psychice chłopów i jego stosunku do własnej twórczości. Człowiek, który jeszcze wczoraj popisywał się chętnie opowiadanymi gwarami legendami czy zagadkami, dzisiaj często wstydydzi się używania dialektu, bo nawet jego własne dzieci, zdobywające wykształcenie w mieście, potrafią wytknąć ojcu błędy wymowy. Szybko zmienia się oblicze wsi i dlatego coraz głębiej do kufra wędrują ludowe stroje, coraz rzadziej słychać chłopską piosenkę. Znika bezpowrotnie odrębność kulturalna polskiej wsi, a wraz z nią odchodzi też na zawsze zasłużony i wierny jej przyjaciel i obrońca — regionalizm.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że regionalizm przynajmniej taki, jakim

widzieliśmy go jeszcze przed kilkunastu laty — już się przeżył, dlatego kultywowanie go obecnie trzeba byłoby uznać wręcz za działalność społecznie szkodliwą, no bo jakże tu propagować stare zwyczaje, kiedy NOWE drzwiami i oknami, likwidując wszelkie przeżytki i opory wkracza do każdej chłopskiej chaty. Czy zatem można mówić o rychłej śmierci regionalizmu tradycyjnego? Tak, jednakże pod warunkiem, że jednocześnie zasygnalizujemy narodziny i szybki rozwój regionalizmu nowego, jak najbardziej współczesnego. I to jest chyba sprawą najistotniejszą — konieczność uświadomienia sobie istnienia dwóch regionalizmów, z których tylko jeden ma dzisiaj rację bytu. Regionalizm tradycyjny musiał odejść, bowiem życie przeszłością i kulturą ludową na dłuższą metę było nie do pomyślenia.

Kułt tradycji, przeszłości — zgoda, ale z zastrzeżeniem, że ta przeszłość ma służyć teraźniejszości i przyszłości. To bodaj jest naczelną hasło współczesnego regionalizmu — jak najbardziej bliski kontakt z aktualnymi problemami terenu, z jego codziennym życiem, to właśnie różni go od jego poprzedników. Jest jednak jeszcze inny aspekt, który trzeba wyraźnie podkreślić: masowy charakter neoregionalizmu i jego podstawy ideowe. Jeżeli dzisiaj używamy terminu „działacz regionalny” — to rozumiemy, że kryje się za nim człowiek aktywnie uczestniczący w przebudowie swego miasta czy wioski, człowiek oddany sprawie wywyższenia kraju z zafascynania kulturalnego i gospodarczego, człowiek postępowy, realizujący na swoim odcinku pracy wytyczne partii i rządu. Tak pojęty regionalizm staje się zjawiskiem jak najbardziej pożądanym, mogącym oddać wielkie usługi w procesie kształtowania nowego oblicza naszego kraju. Kierunek ten, zrywając z ciasną, zaślepieniową polityką otwiera przed jego zwolennikami znacznie szersze horyzonty, daje nieograniczone możliwości działania, nie pozwala zasklepieć się i ograniczać do własnego podwórka, wprost przeciwnie — każe szukać kontaktów i pomocy wszędzie, gdzie na to można liczyć.

NIE inaczej jest też z regionalizmem lubelskim. Nie do pomyślenia jest, by można było mówić dzisiaj, że zerwaliśmy całkowicie z tradycją i wyrzekliśmy się ruchu, który był i jest świetną szkołą i kuźnią działaczy społecznych, tak przecież nam potrzebnych. Zadania, jakie stawia przed sobą współczesny regionalizm lubelski, nie są bynajmniej łatwe. W analogicznej sytuacji jak Lubelszczyzna znajduje się Rzeszowskie, Kieleckie i Białostockie. W każdym z tych województw jest z pewnością dużo ludzi, którym bliski jest rozwój i awans własnego regionu. Każde miasto czy województwo ma

ambicję wybicia się. Rzecz jednak w tym, by w pełni wykorzystać możliwości współpracy z innymi ośrodkami i razem z nimi dochodzić do tego samego przecież celu.

Nie da się ukryć faktu, iż kontakty kulturalne Lubelszczyzny z sąsiadującymi z nami województwami są bardzo słabe i mają charakter przypadkowy. Wydaje się, że jest to dużym niedopatrzaniem, które trzeba jak najszybciej zlikwidować, tym bardziej, że od dawna trwają próby nawiązania tej tak bardzo pożądanej współpracy. Wystarczy przypomnieć chociażby kontakty teatralne, współpracę naukowców lubelskich z Rzeszowem, ba, na tej samej przecież antenie spotykamy się z Białymstokiem. Spotykamy się jednak ze sobą rzadko i wiemy o sobie mało, a stąd wniosek, że usiłujemy pokonywać te same niejednokrotnie trudności po partyzacku, na własną rękę, bez wykorzystania doświadczeń sąsiada. Dlatego też wydaje się rzeczą jak najbardziej pożądaną rychłe doprowadzenie do spotkania przedstawicieli władz partyjnych i terenowych czterech województw w celu opracowania realnego planu wzajemnej współpracy kulturalnej i ekonomicznej. Współpraca ta musiałaby się opierać na zasadach równouprawnienia, mamy bowiem prawo przypuszczać, że każde województwo stać będzie na to, by zarówno dawać, jak otrzymywać. Gdyby projekt ten został zrealizowany — korzyść byłaby z pewnością bardzo poważna. Ożywiłoby się życie teatralne, literackie i naukowe na terenie całej byłej „Polski B”, a na to czekamy przecież od dawna.

Warto się więc zastanowić, z czym możemy wyjść do Rzeszowa, Kielc i Białegostoku, by zaproponować im konkretną współpracę. Niewątpliwie trzeba zacząć od nauki, do czego upoważnia nas fakt posiadania 5 wyższych uczelni. Tu możliwości współpracy są wręcz nieograniczone. Można np. zakładać organizowanie dalszych filii UMCS, sesji naukowych, budowę domów akademickich dla studentów z sąsiednich województw, stypendia, kierowanie absolwentów do pracy itd. Wiele do powiedzenia będzie miały także Teatr im. Osterwy i Operetka, z tym, że możemy tu liczyć na poważny rewanż ze strony sąsiadów. To samo da się powiedzieć o kontaktach środowisk twórczych, a zwłaszcza literackiego. Redakcja „Kamień” zresztą daje w tym zakresie dobry początek, pragnąc już w najbliższym numerze zamieścić czterostronicową wkładkę poświęconą Ziemi Białostoc-

nych. Nie tylko dlatego, że jest to impreza bardzo kosztowna i że skreślając ją uzyskujemy oszczędność rzędu kilkudziesięciu tysięcy złotych, ale i dlatego, a może przede wszystkim dlatego, że byłby to efekt niepotrzebny, nie wnoszący w treść i myśl przewodnią DNI LUBLINA. Dzieci lubelskie wybaczą organizatorom brak tej „fajdy”, a dorośli na pewno zrozumieją, iż słuszną i rozsądną jest rzeczą, że DNI LUBLINA są na razie bez fajerwerków.

Bolesław Resch

(Dokończenie na str. 9)

Rozmowa z Rektorem UMCS Prof. Dr Grzegorzem Seidlerem



za blisko niego żeby mieć o nim syntetyczne pojęcie.

T. Panie Rektorze, w „Myśli Średniowiecza” poświęca pan jeden z esejów koncepcjom politycznym Dantego. Teraz z kolei natknę się pan w swych badaniach na największego chyba olbrzyma literatury w ogóle — Szekspira. Ostatnio wydane „Szkice” Jana Kotta ukazują w nim pisarza par excellence politycznego.

R. Szekspir to zwierciadło epoki. O jego powiązaniach z myślą polityczną świadczy najlepiej fakt, iż w ogóle można było przypisywać jego dzieło Baconowi. Zresztą muszę pani powiedzieć, że za młodu pasjonowałem się Szekspirem. Czytałem go w takim starym wydaniu dużego formatu z ilustracjami, pani może już tego nie pamięta. Kochałem się na zabój we wszystkich po kolei bohaterkach szekspirowskich. Całe tyrady znałem na pamięć. Jeszcze dziś mogę dogrzebać się w pamięci niejednego wiersza. I kilku w swoim życiu widziałem Hamletów. Za studenckich czasów w Wiedniu słynnego Hamleta we fraku, potem w Polsce no i w Anglii. A ot, w ubiegłym roku był tu z „Hamletem” zespół teatru ukraińskiego. Przedstawienie w całości takie sobie, ale Hamlet wydał mi się znakomity. Potem dowiedziałem się, że to był jakiś wybitny talent, nagrodzono go i „porwano” do Moskwy.

T. To nie tylko nam stolica porywa talenty!

R. To już prawo socjologiczne, że wielkie ośrodki tworzą dokoła siebie pustkę. I Lublin siłą swego bliskiego położenia pada częściowo ofiarą atrakcyjnej Warszawy.

T. Skoro już jesteśmy na lubelskim podwórku... Może pan Rektor zechce nam powiedzieć, w czym widzi znamienne cechy naszego Uniwersytetu, co jest jego „differentia specifica”?

R. Widzi pani, mnie się zdaje, że charakter własny UMCS wiąże się ściśle z jego genezą. Ogromna większość uniwersytetów nie tylko w Polsce, ale na świecie zaczynała od humanistyki. Ot, na przykład taka Akademia Zamojska — w Zamościu zakładamy teraz filię UMCS — otóż w Akademii Zamojskiej najpierw było prawo, filozofia, na koniec medycyna, i jak mi się wydaje ta ostatnia nigdy się tam nie rozwinęła. Tymczasem na UMCS te sprawy zostały niejako postawione na głowie. Uniwersytet zaczął od nauk ścisłych i to go określiło nie tylko organizacyjnie. Ja bym powiedział, że przez ten swój matematyczno-przyrodniczy charakter UMCS jest szczególnie współczesny. Trafia w zainteresowania epoki.

T. I może właśnie dlatego znakomicie redagowane przez pana Rektora „Annales UMCS” cieszą się takim powodzeniem w całym świecie.

R. Może... Ale wracając do oblicza UMCS. Otóż zdaje mi się, że jego „nowoczesność” wyraża się także w zerwaniu z uniwersyteckim elitaryzmem...

T. ...z mitologią uniwersytecką?

R. ...UMCS nie ma charakteru kościoła kulturowego. Tu są zwyczajni, solidni fachowcy, którzy bez celebry przekażą swoją wiedzę młodzieży. Tu zresztą dochodzimy do problemu, który mi szczególnie leży na sercu: zagadnienie wzajemnego stosunku światopoglądu technicyzycznego i humanistycznego...

T. ...którego to ostatniego jest pan zwolennikiem i przedstawicielem.

R. Chyba wszyscy komuniści starszego pokolenia są nimi, zmuszali ich do tego okoliczności, konieczność nieustannej dyskusji ideologiczno-intelektualnej. Otóż kiedy mówię z naszymi młodymi kolegami z wydziałów ścisłych, z fizykiem Subotowiczem — bardzo lubię z nim rozmawiać, z matematykiem, „młodym” Tatkiewiczem — czuję, że oni nas, humanistów, jakby trochę lekceważyli, nie brali tak całkiem serio, co nie uważa pani? Zdaje mi się, że nie zdają sobie w pełni sprawy, że przecież sami wyznają pewien system wartości moralnych, etycznych itp. — wypracowany właśnie przez humanistykę. To jest dla mnie zasadniczy sens humanistyki: tworzyć system wartości...

T. ...wskazywać hierarchię dóbr...

R. ...tak, system wartości, mówię co to dobro, co to piękno, wyznaczać kryteria etyczne, estetyczne.

T. Panie Rektorze, mnie się zdaje, że to jest jakaś zasadnicza trudność



ZOSTAŁEM W INSTYTUCIE

Z ALEDWIE parę dni minęło od zakończenia wielkich uroczystości: dziesięciolecia istnienia w Lublinie Instytutu Medycyny Pracy i Higieny Wsi. Rozmawiamy z dyrektorem Instytutu prof. dr Józefem Parnasem.

Pytanie: Jak dawno pracuje Pan Profesor w Instytucie?

Odpowiedź: Od chwili, kiedy powstał on z nicości, to znaczy od dziesięciu lat.

Pyt.: A więc czuje się Pan z nim mocno związany uczuciowo?

Odp.: No cóż, od trzydziestu lat mam dwie pasje naukowe, które absorbują mnie bardzo mocno i którym poświęciłem spory kawał mego życia. Pierwsza z nich to sprawa antropozoonoz — przechodzenia różnymi drogami niektórych chorób ze zwierząt na ludzi. Jest to dla mnie wielki problem epidemiologiczny i mikrobiologiczny. A druga pasja — problemy związane z higieną wsi. Oczywiście zwłaszcza z higieną wsi polskiej. Dopiero praca w Instytucie dała mi pełne zadowolenie. Mogę prowadzić tu badania, które mnie najbardziej interesują. Może nawet więcej niż interesują.

Pyt.: Czy w działalności instytutów naukowych dziesięć lat to dużo czy mało?

Odp.: Bardzo mało. To zaledwie niemowlęctwo.

Pyt.: A czy w takim razie nasze lubelskie „niemowlę — jubilat” ma już jakiś dorobek?

Odp.: Można by o tym mówić bardzo długo i obszernie. Posłużę się jednak na razie tylko kilkoma przykładami. Zorganizowaliśmy sieć naukowych współpracowników i korespondentów. Stanowią oni mniej więcej około 25 proc. lekarzy pracujących w polskich wsiach. Ich współpraca jest bardzo cenna. Inny przykład: nasz Instytut znany jest także poza granicami kraju. Mówi się w świecie o lubelskiej szkole antropozoonoz. Mówi się, że nasz Instytut jest szkołą higieny wsi w skali międzynarodowej. Nasz „Biuletyn Naukowy” dociera do wszystkich kontynentów kuli ziemskiej i cieszy się wszędzie ogromnym wzięciem. Czytają go we wszystkich państwach Europy, w obu Amerykach, na Dalekim Wschodzie (Chiny, Japonia) i w Afryce.

Pyt.: A jak sobie radzą w tych dalekich krajach, z polskim językiem, który przecież wcale nie należy do najbardziej znanych, a w którym właśnie wychodzi „Biuletyn”?

Odp.: Pomyśleliśmy i o tym. Wydajemy właściwie dwa biuletyny: jeden polski, drugi angielski, to znaczy pisany w tym języku. Tam, gdzie orientujemy się, że jest jakiś Polak,

lub ktoś, kto włada językiem polskim — wysyłamy biuletyn polski. W przeciwnym wypadku — „English Bulletin”. Poza tym naprawdę muszą naszą pracę cenić w świecie, skoro właśnie w lubelskim Instytucie urządzono niedawno Międzynarodowe Sympozjum Medycyny Wiejskiej. Obrady toczyły się w języku polskim, rosyjskim, francuskim i niemieckim. Wzięło w nich udział około 80 osób.

Pyt.: Wiele pracy musiało chyba kosztować osiągnięcie takich rezultatów w przeciągu 10 lat?

Odp.: Wkład pracy, tej zwykłej, codziennej był ogromny. Zarówno ja, jak i moi współpracownicy: docenci, adiunkci, asystenci, technicy, pracowaliśmy po 16 godzin na dobę. Oczywiście owoce tego trudu są. Z kraju i z zagranicy syją się wyrazy uznania, wyróżnienia, zaszczyty.

Pyt.: Jeszcze jedno. Czy można spytać o plany Pana Profesora na najbliższą przyszłość?

Odp.: Miałem kilka propozycji objęcia katedr poza granicami kraju: w Pradze, Francji oraz Anglii.

Pyt.: No i?...

Odp.: Zostaję. W Instytucie.

Rozmowę prowadziła
A. R.-T-ska

Do problemów pracy Instytutu Medycyny Pracy i Higieny Wsi powrócimy wkrótce.
(Red.)



Bronowice II — Z prawej strony rusztowania na bloku nr 9, w głębi kotłownia dla całego osiedla (v. art. J. Dostatniego)

(Dokończenie na str. 8)

NA STYKU DWU KULTUR

(Dokończenie ze str. 1)

rzy, którzy zachowując mahometanizm, wrastają bądź w ludność miejską, bądź w szlachtę i tworzą w wojsku oddziały lekkiej jazdy.

Krzyżowały się w Polsce również wpływy i wierzenia religijne. Tu w wyniku podporządkowania Rzymowi części Kościoła Wschodniego powstał w XVI wieku Kościół Unicki, zachowujący obrządek grecki. Niezależnie od tego duchowni ruscy używali wówczas obok cyrylicy alfabetu łacińskiego. W XVII wieku Ormianie polscy zerwali z metropolią wschodnią i podporządkowali się papieżowi, zachowując jednocześnie swą tradycyjną liturgię wschodnią. W ten sposób powstał unijny kościół ormiański.

Przenikały i do literatury polskiej wpływy wschodnie. Pisarze polscy XVI i XVII w. — Zimorowicz, Klonowicz i Jagodyński — dla podkreślenia cech regionalnych używali często ruskich słów lub wprowadzali w swą liryczną poezję rytm i słowa ruskiej pieśni ludowej. Miało to miejsce w czasie, kiedy szlachta polska wiązała się z kulturą włoską, za panowania królowej Bony i jej syna Zygmunta Augusta. Pełno było wówczas południowców w Polsce. O tym okresie mówi się, że „kuchnią zarządzał — Włoch, konie ujeżdżał — Włoch, ogród urządził — Włoch”. Młodzież polska studiowała we Włoszech, tak, że w sejmie polskim XVI wieku można doliczyć się kilkudziesięciu osób wykształconych w słonecznej Italii. Z Włoch docierał do Polski renesans, poznawala szlachta historię antycznej Grecji i Rzymu. Ideale średniowiecznego rycerza, kult rodzimych, świętych, wiązał szlachcica z czciami dla greckich i rzymskich bohaterów, szukając dla swych urobionych poglądów uzasadnienia w antyku.

W WYNIKU krzyżowania się kultur zdobyła Polska bardzo znamienne cechy — zrozumienie dla współżycia i wielkie poczucie tolerancji. Tam gdzie stykają się różne plemiona, różne wierzenia, spotykają się kupy różnych krajów — nie ma miejsca dla fanatyzmu poglądów. Nie były też znane Polsce krwawe walki religijne, które wyczerpywały Europę. Nie przechodziła ona gwałtownych rewolucji społecznych. Przeciwnie — atmosfera tolerancji sprzyjała ucieczkom do Polski ludzi ze wschodu i zachodu, którzy tu znajdowali schronienie przed fanatyzmem religijnym i tyranią władzy.

Już w XII wieku ściągają do Polski Żydzi wygnani z zachodniej Europy. W XIV wieku uzyskują tu znaczne przywileje od Kazimierza Wielkiego, a w XV wieku od Kazimierza Jagiellończyka. Pamiątką pierwszej imigracji Żydów do Polski są monety z XII wieku z napisami hebrajskimi, mienicami książęcymi bowiem kierowali wówczas uciekinierzy żydowscy. Od XIII wieku docierają do Polski wyprzedzeni ze swej ojczyzny Ormianie i osiedlają się w południowo-wschodnich miastach polskich. Od XII wieku rozpoczyna się imigracja Niemców do naszego kraju. Upowszechniają oni na wsi żelazny plug i trójpolówkę, a w miastach organizację samorządu miejskiego.

W XVI i XVII wieku otwiera Polska swe wrota dla nowych uchodźców. Napływają z Anglii katolicy, którzy masowo uciekają przed prześladowaniami religijnymi. Przybyli Anglicy i Szkoci zajmują się głównie handlem, część z nich zaciąga się do najemnego wojska. Jak wielka musiała być ilość tych imigrantów angielskich dowodzi fakt, że mianem Szkotów określano wędrownych kramarzy.

Znamienne dla dziejów Polski atmosfera tolerancji rodziła ideę wolności. Przeciwni fanatyzmowi, Polacy zwalczali równocześnie silną władzę państwową. Od XIV wieku szlachta walczyła skutecznie o swą niezależność. Nie można było szlachcica pozbawić majątku ani go więzić bez decyzji sądu, wywalczył on też wolność wyznania. Monarcha polski związany był uprawnieniami polskiego parlamentu, w którym, w imię skrajnie pojętej wolności, wprowadzano nawet zasadę jednomyślności. W przesadnej obawie przed „absolutą — domini” szlachta anarchizowała, szczytując się słabością władzy monarszej.

Idee wolnościowe znajdowały praktyczną realizację w instytucjach prawnych i politycznych Polski historycznej. Były to prawa zapewniające obywatelom swobodę wyznania, prawa gwarantujące wolności szlacheckie, czy wręcz instytucja polskiego sejmiku. Zdumiewała Polska swoim ustrojem największe umysły. O niej z entuzjazmem pisał J. J. Rousseau w „Rozprawie o rządzie polskim”, widząc w demokracji szlacheckiej niemalże ideał ustrojowy. Mimo swoich blasków, źle rozumiana idea wolności niosła ze sobą słabość rządów. Wprawdzie pod wpływem mieszczańskie rewolucji francuskiej szlachta polska w Konstytucji 3 Maja w roku 1792 przyznawała kompromisowo uprawnienia mieszczaństwu i podjęła kroki, aby wzmocnić władzę wykonawczą — były to jednak już spóźnione postanowienia. W końcu XVIII wieku przyszedł rozbiór Polski...

P O PIERWSZEJ wojnie światowej, w roku 1918, uzyskała Polska po wiekowej niewoli niepodległość. Nielatwa była sytuacja tego państwa, rozrywanego przez wielorakie sprzeczności: ostro zarysowały się różnice społeczno-gospodarcze w niepodległej Polsce. Obok zubożalej i bezrolnej wsi istniały latyfundijskie ziemie. W miastach obcy kapitał nie liczył się z potrzebami klasy robotniczej. Zacołowana gospodarka polska ratowała swój bilans płatniczy eksportem surowców i półfabrykatów, które wynosiły 97% całego wywozu. Niezależnie od sprzeczności gospodarczych spoistości państwa rozrywały konflikty mniejszości narodowych, które stanowiły 31% całej ludności. Nie bez wpływu na strukturę państwa pozostawały różnice między dzielnicami. W następstwie rozbiorów różniły się one stopniem rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Nie miała też Polska żadnych tradycji rządzenia, nie przeszła szkół politycznej — przeciwnie — walcząc z władzą zaborczą nie miała kiedy przejść z pozycji negujących władzę, na pozycje konstruktywne, wzmacniające władzę. O stopniu rozbitcia wewnętrznego świadczy fakt, że do wyborów sejmowych w r. 1938 zgłosiło się 38 ugrupowań politycznych, a z tego 31 uzyskało przedstawicieli w parlamencie. Nie mogły też rozwiązać sprzeczności wewnętrznych Polski przedwojennej wojskowe rządy Piłsudskiego, tym bardziej, że swą politykę wiązały z Niemcami, które miały niebawem przynieść największą tragedię narodowi polskiemu.

W roku 1939 faszystowskie Niemcy uderzyły na Polskę. Straciła ona z górą 6 mln obywateli, na tysiąc mieszkańców zginęło w niej 220 osób. Wyniszczono inteligencję, aby tylko wymienić stratę 700 pracowników nauki, przeszło 1000 nauczycieli szkół średnich, czy 4000 nauczycieli szkół powszechnych. Zniszczenia ostatniej wojny były ogromne, straciła bowiem Polska 38% majątku narodowego, kiedy np. Anglia — niecały 1%. Mimo tych wielkich strat wierni swej tradycji Polacy walczyli z faszystem na wszystkich możliwych frontach za „ludność, wolność i swą niepodległość”.

R OK 1944 przyniósł niepodległość Państwu Polskiemu. Władzę objęła Polska Partia Robotnicza, tworząc fundamenty socjalizmu w Polsce. Nacjonalizacja przemysłu, banków, transportu, parcelacja wielkiej własności ziemskiej — jednym zamachem przecięły sprzeczności gospodarczo-społeczne czasów przedwojennych. Inna jest też Polska w swej strukturze narodowościowej. W ramach bowiem nowego państwa znalazła się jednolita ludność polska. Okres okupacji faszystowskiej, zniszczenia i cierpienia niweczyły różnice między dzielnicami. W tej chwili mówimy o centralnej Polsce i ziemiach zachodnich, które są dumą i ambicją narodu. Polskość i rozwój tych ziem wyraża dążenia całego narodu, który w ten sposób odpowiada rewizjonistycznej polityce zachodnich Niemiec.

Od r. 1944 zwała i silna władza robotniczo-chłopska rozpoczęła etap industrializacji i używa wszystkich środków, aby zwiększyć produktywność gospodarczą państwa. Polska przekracza próg zacołania gospodarczego. W piętnastolecie swego istnienia zwiększa Polska produktywność przemysłową 6-krotnie w porównaniu

z rokiem 1938. O temple produktywności mówi 25-krotne zwiększenie budownictwa obiektów przemysłowych i 12 razy większe budownictwo mieszkaniowe w porównaniu z okresem przedwojennym. Refleksem tych zmian jest procent eksportu maszyn i sprzętu inwestycyjnego, który stanowi czwartą część całości polskiego wywozu.

Wielkie przemiany gospodarcze odbiły się wyraźnie w strukturze społeczeństwa. Jeśli w roku 1946 ludność miast polskich wynosiła 7,5 miliona, to w 14 lat później wzrosła ona dwukrotnie. W zniszczonych miastach znaleźli się nowi mieszkańcy. Pokolenie chłopów weszło do życia miejskiego, tworząc bazę rekrutacyjną dla wzrastającej klasy robotniczej. Chłopi też stanowią główny trzon nowej inteligencji polskiej. Jeśli do powstania Polski Ludowej inteligencja polska formowała się pod wpływem dworu szlacheckiego, który silnie oddziaływał na całą kulturę — to obecnie na obliczu polskiej inteligencji wyciska najsilniej piętno pokolenie chłopów, które wyrosło i kształciło się już w Polsce Ludowej. Ono kieruje obecnie w wielkim stopniu polskim życiem gospodarczym, społecznym i politycznym.

Na tym pokoleniu, wychowanym już w Polsce Ludowej, ciąży odpowie-

dzialne zadania w najbliższym dziesięcioleciu. Wielki przyrost ludności daje obecnie gwałtownie o sobie znać. Jeśli w r. 1960 przyrost ludności zdolnej do pracy wynosi 50 tysięcy ludzi rocznie, to w r. 1962 liczba ta wzrośnie do 170 tysięcy, a w następnych latach do 250 tysięcy rocznie.

Na pokoleniu, które w tej chwili czynnie tkwi w życiu gospodarczym i politycznym naszego państwa, ciąży obowiązek wielokrotnienia produktywności, ono musi realizować hasło postępu technicznego, to pokolenie musi spowodować zwiększenie intensywności gospodarstw rolnych, co poprzez pracochłonne angażowanie ludzi pozwoli zwiększyć wydajność naszego rolnictwa.

Dzisiaj, kiedy świat mówi o współistnieniu i koegzystencji, chyba nie ma narodu, który by pragnął goręcej pokoju niż Polacy, angażujący wszystkie swe siły w wielkim procesie inwestycyjnym.

To, co dzisiaj jest hasłem ludzi dobrej woli na całym świecie: koegzystencja, wzajemne zrozumienie i tolerancja, było znamienym rysem całej tysiącletniej historii polskiej, stąd też wierzymy w ich realność przekonani, że z nich mogą zrodzić się wielkie wartości ogólnoludzkiej kultury.

Grzegorz L. Seidler

D
l
a
L
u
b
l
i
n
a
M
A
R
I
A
B
E
C
H
C
Z
Y
C
R
U
D
N
I
C
K
A



- Co?! Marcel Marceau dla Lublina?
- Owszem i on również.
- Jakim sposobem?
- To się dalej okaże.

Ktorego dnia na kolegium redakcyjnym „Kamień” zrodził się nagle pomysł, żebyśmy odbyli z Jerzym Toronczykiem rozmowę na temat teatralne w tzw. obliczu nadciągającego otwarcia sezonu.

Interview z dyrektorem Państwowego Teatru im. J. Osterwy, ja, kierownik literacki tegoż teatru? Suggestia wderwała się nieco dyskredytująca — czyż nie powinienem rozmawiać z moim dyrektorem na co dzień? No, ale nie rozmawiam... bodaj dlatego, że każdy operatywny dyrektor przebywa większą część czasu poza siedzibą. Chwyliłam się tedy propozycją skwapliwiej, iż nie wolno mi wyzywać się w recenzjach o naszych premierach, choć w gruncie rzeczy kierownik literacki nie ma powodu do uprawiania prasowego kumo-

Marcel Marceau jako Fabrykant masek
terstwa, zwłaszcza „kierownik” półetatowy.

Tak czy owak oto trochę wiadomości ze starego, wysłużonego gmachu przy ul. Pstrowskiego-Narutowicza-Osterwy, który trzeba było przebiec od dołu do góry i z powrotem, by nie gniebił pytaniami samego tylko dyr. Toronczyka.

Docieram najpierw wysoko-wysoko do małej salki urzędowej systemem gospodarczym, gdzie widzieliście pewno, Czytelnicy, a jeśli nie, to możecie jeszcze zobaczyć wieczorami świetną jednoaktówkę Mroźka „Na pełnym morzu” w wykonaniu założycieli scenki „Reduta 61”. W rannych godzinach odbywają się tam na nych godzinach odbywają się tam na razie przy stoliku próby sztuki J. M. Simmla „Kolega”, której akcja rozgrywa się w okresie od stycznia 1944 do listopada 1956 w Wiedniu i Berlinie.

ZADANIE: RADZIĆ I POMAGAĆ

JÓZEF ZIĘBA

Wychowawcy, którzy zaczęli konsultować zespoły pracujące w terenie, udzielając im na miejscu fachowej porady. Rozpoczęto zarazem fachowe kształcenie wyróżniających się w pracy kierowników zespołów artystycznych. Nawiązano jednocześnie współpracę z organizacjami społecznymi i młodzieżowymi (ZMW, ZMS) zainteresowanymi działalnością kulturalno-oświatową.

W wyniku kilku lat wyężonej pracy udało się skupić wokół Wojewódzkiej Poradni najbardziej wartościowych i doświadczonych działaczy kulturalno-oświatowych z terenu całego województwa. Działacze ci „wyróśli” w ciągu kilku lat na zupełnie odpowiedzialnych instruktorów amatorskich zespołów artystycznych. Oddziaływanie tych instruktorów zaczęło wykraczać poza jeden zespół. Z pomocą ich zaczęły korzystać placówki powiatowe, zwłaszcza powiatowe domy kultury.

Przed powiatowymi domami kultury w tym czasie stało nowe zadanie organizowania powiatowych poradni kulturalno-oświatowych. Poradnie powiatowe przyjęły część funkcji Wojewódzkiej Poradni, zwłaszcza w dziedzinie niesienia bezpośredniej pomocy amatorskim zespołom artystycznym. Stało się to możliwe dzięki współpracy instruktorów przygotowanych przez seminarium i kursy Wojewódzkiej Poradni. W związku z tym Wojewódzka Poradnia zmienia swój profil i staje się (od jesieni 1960 r.) placówką niosącą pomoc już nie bezpośrednio poszczególnym zespołom, lecz powiatowym domom kultury i punktom poradnictwa kulturalno-oświatowego w całym województwie.

Jako poletko doświadczalne bezpośredniego oddziaływania na poszczególne zespoły pozostawiono przy Wojewódzkiej Poradni jedynie powiat lubelski.

Zmiana kierunku pracy nie oznacza wcale zawężenia działalności. Wprost przeciwnie, plany pracy poszczególnych działów rozszerzyły się o nowe zagadnienia. W orbicie zainteresowań znalazł się bowiem cały wachlarz zagadnień oświatowych oraz problem regionalnych stowarzyszeń i klubów inteligencji. Ponadto wyłonilo się zagadnienie pomocy w dziedzinie organizacji pracy w powiatowych placówkach kulturalno-oświatowych. Nadal przy Wojewódzkiej Poradni pozostały sprawy związane z doskonaleniem i kształceniem powiatowych kadr społecznych ruchu kulturalno-oświatowego. Również nie przerwano współpracy ze społecznymi organizacjami zainteresowanymi pracą kulturalno-oświatową.

KSZTAŁTUJĄCE się w niektórych powiatach nowe zjawiska kulturalno-oświatowe, tzw. eksperymenty (lubartowski, chełmski, lukowski), zobowiązujące szkoły do pełnienia roli ośrodków życia kulturalno-oświatowego na wsi postawiły przed Wojewódzką Poradnią zupełnie nowe i nieznane problemy, zwłaszcza w dziedzinie oświaty dorosłych. Wyłonił się automatycznie problem kształcenia kierowników ośrodków kulturalno-oświatowych. Poza tym Wojewódzka Poradnia zaczęła uczestniczyć w badaniach naukowych przeprowadzanych na terenie naszego województwa przez Centralną Poradnię Amatorskiego Ruchu Artystycznego.

Nie jest to wcale pełny rejestr problemów stojących aktualnie w orbicie zainteresowań Wojewódzkiej Poradni. Wybrałem spośród nich garść chyba najważniejszych. Nie można również na tym miejscu szerzej ich omówić. Żeby jednak informacje moje nie pozostały jedynie w sferze ogólników na zakończenie posłużę się pewną ilością liczb, które może bardziej ukonkretnią działalność Wojewódzkiej Poradni. Oto one:

Od 1958 roku Poradnia przeprowadziła:

- 14 kursów wojewódzkich (oświatowe, teatralne, taneczne, muzyczne) na ogólną ilość 206 dni kursowych.
- Współorganizowała z organizacjami młodzieżowymi i społecznymi 12 kursów na ogólną ilość 161 dni.
- Przeprowadziła 100 seminariów własnych (tematyka artystyczna i oświatowa) na ilość 255 dni. Współorganizowała 60 seminariów na ilość 142 dni.

Udzieliła na miejscu około 3 i pół tysiąca porad z zakresu prac w zespo-

W CHWILI obecnej Wojewódzka Poradnia Pracy Kulturalno-Oświatowej jest już integralną częścią społecznego ruchu kulturalno-oświatowego w województwie lubelskim, ale przed czterema laty zaczęła się dopiero wyłaniać z niezbyt jasnych i nie określonych ostatecznie koncepcji. W całym kraju nie było bowiem w tym względzie ostatecznie sprawdzonych doświadczeń. W województwie istniały jedynie poważne potrzeby rozwijającego się głównie na wsi żywiołowo społeczno-kulturalnego ruchu. Jedną z bardziej zorganizowanych form pracy kulturalno-oświatowej był tu amatorski ruch artystyczny. Ruch ten daleki jednak od artystycznej i wychowawczej doskonałości wymagał natychmiastowej merytorycznej opieki i pomocy.

Właśnie zapewnienie społecznemu ruchowi artystycznemu doraźnej pomocy stało się głównym zadaniem powstającej w 1958 r. Wojewódzkiej Poradni. W związku z tym został zorganizowany w Poradni m. in. komis kosmetyków i sztuk najbardziej odpowiednich dla amatorskich zespołów teatralnych. Udostępniono tym zespołom do wypożyczenia dość bogatą szatnię kostiumów teatralnych i strojów ludowych. Skupiono wokół Poradni sporą grupę współpracowni-

W TEGOROCZNYM planie pracy ROKO ZSP położono na organizowanie życia kulturalnego wśród studentów duży nacisk. Pole do popisu będą tutaj kluby studenckie działające na terenie Miasteczka Uniwersyteckiego. Przy klubach powstaną koła zainteresowań (między innymi plastyczne i fotograficzne), częściej niż dotąd będą odbywały się imprezy kulturalne i dyskusje, powstaną tzw. „grupy regionalne”. Będą one miały na celu zwrócenie uwagi studentów na interesujące regiony Lubelszczyzny — głównie Ziemię Chełmską i Zamojską. Na terenie klubów będą działały także „kluby oratorskie”, których członkowie wezmą udział w zorganizowaniu w maju 1962 r. wielkiego turnieju krasomówczego. Warto tutaj wspomnieć, że turniej krasomówczy, impreza ściśle lubelska, posiada już siedmioletnie tradycje i cieszy się wielką popularnością wśród studentów i pracowników naukowych wszystkich lubelskich uczelni. Październik, listopad i grudzień będą Kwartałem Klubów Studenckich. Ta trzymiesięczna impreza, w której udział wezmą kluby studenckie z całej Polski, zostanie zakończona wielkim zjazdem i naradą poświęconą działalności i osiągnięciom klubów studenckich.

W STATUCIE ZSP jest powiedziane, że organizacja ta ma na celu między innymi „organizowanie działalności kulturalnej, w szczególności zaś popieranie i rozwijanie studenckiego ruchu twórczości amatorskiej, opiekę nad młodymi talentami, inicjatywę działalności wydawniczej oraz zabezpieczenie bazy materialnej dla życia kulturalnego na wyższych uczelniach”.

Z ostatnich osiągnięć studentów lubelskich i ambitnych założeń na przyszłość widać, że lubelska Rada Okręgowa stara się jak najlepiej realizować założenia Statutu. Jeżeli mimo to praca miejscami kuleje, winę ponosi przede wszystkim brak pomieszczeń przystosowanych do pracy kulturalnej. Próby zespołów odbywają się w wolnych akurat salach wykładowych, Kluby studenckie działają w pomieszczeniach „wygospodarowanych” z pokoiów mieszkalnych. Lublin jedyny w Polsce nie posiada studenckiego klubu śródmiastowego, jak warszawskie „Hybrydy”, gdański „Zak” czy krakowskie „Jaszczury”, ani nawet własnej sali widowiskowej. Problem rozwiąże częściowo budowany obecnie na terenie Miasteczka Uniwersyteckiego Dom Społeczno-Uslugowy z salą na... 350 osób. Niestety, jak dotąd, wszelkie próby pozyskania odpowiednich pomieszczeń speliły na niczym. „Ani władze kulturalne lubelskie, ani uczelniane nie przywiązują do tego wagi” — powiedział jeden z pracowników Rady Okręgowej ZSP.

Mirosław Derecki

le artystycznym, doborze repertuaru, reżyserii, prac oświatowych, urzędzeń wewnątrz, organizacji pracy w placówkach k. o. itp.

Udzieliła konsultacji wyjazdowych przez specjalistów w miejscu pracy zespołu na ilość około 500 dni.

Wypożyczyła przeszło 6 i pół tysiąca kostiumów teatralnych i strojów ludowych. Rozprowadziła przeszło 5 i pół tysiąca egzemplarzy pozycji repertuarowych i metodycznych, kosmetyków teatralnych na około 20 tys. zł.

Pracownicy etatowi WPPKO spędzili w tym czasie w terenie przeszło 700 dni, udzielając na miejscu instruktażu w dziedzinie organizacji pracy w placówkach kulturalno-oświatowych i zespołach artystycznych.

Trzeba tu dodać, że w 1958 r. rozpoczęła organizować pracę w Wojewódzkiej Poradni czterech pracowników działalności podstawowej, obecnie jest ich dziesięciu.

MIMO szybkiego rozwoju placówki w przeciągu ostatnich czterech lat nie uzyskała ona jeszcze pełnej dojrzałości. Ciągły, żywiołowy rozwój ruchu kulturalno-oświatowego w kraju i województwie stawia przed nią coraz to nowe zadania. Potrzeba pełnej realizacji tych zadań wpłynie niewątpliwie na dalszą kryształizację profilu i struktury organizacyjnej Wojewódzkiej Poradni.

Pozostaje ona w ciągłym stadium rozwoju, gdyż czynnie uczestniczy w rozwijającym się społecznym ruchu kulturalno-oświatowym. Z ruchem tym jest związana, jemu służy i stara się go kształtować. Zadania to duże i często przerastające możliwości niezbyt dobrze wyposażonej Wojewódzkiej Poradni. Nie zrealizowane jeszcze zadania wskazują na to, że placówka ma przed sobą dużą perspektywę rozwoju.

Wczoraj i dziś regionalizmu lubelskiego

(Dokończenie ze str. 2)

kiej. Warto podkreślić, że można spodziewać się systematycznej współpracy, tym bardziej, że w Białymstoku mamy wielu przyjaciół, znanych ze swej długoletniej pracy w Lublinie, jak np. sekretarz KW tow. Eugeniusz Ciurus czy przewodniczący PWRN inż. Jerzy Popko. W dalszej kolejności (październik — listopad br.) planuje się wydanie przez „Kamień” wkładki dla Rzeszowa i Kielc. W ten sposób lubelski dwutygodnik społeczno-kulturalny z czasem stałby się piśmie mającym duży nakład, docierającym do wszystkich miast i miasteczek czterech województw.

Szczególnie wdzięczne pole do popisu ma także — obok prasy — Wydawnictwo Lubelskie. I ono ma zamiar również objąć swym zasięgiem Rzeszów, Białystok oraz Kielce. Czynione są w tej sprawie przygotowania, chodzi bowiem o opracowanie perspektywnego planu wydawniczego, uwzględniającego potrzeby wszystkich zainteresowanych ośrodków. Już w tej chwili nawiązuje się kontakty z poszczególnymi województwami i miastami, a w planach WL efektem tych rozmów i kontaktów powinny stać się jak najszybciej nowe i cenne książki. Pierwsza z nich, związana z Rzeszowszczyzną, ukaże się na rynku jeszcze w bieżącym roku. Będzie to powieść Aleksandra Olszakovskiego pt. „Lokaj pana hrabiego”, której akcja toczy się w posiadłość hrabiego Alfreda Potockiego — Łańcuta.

Nie sposób nawet zasygnalizować wszystkich możliwości współpracy, nie to jest zresztą celem tego artykułu, chodzi po prostu o podkreślenie konieczności rozpoczęcia dyskusji na ten temat i doprowadzenia do spotkania przedstawicieli KW i WRN z Rzeszowskiego, Kieleckiego, Białostockiego i Lubelskiego, którzy stworzyliby podstawy planowej, systematycznej i szeroko zakrojonej wymiany doświadczeń i kontaktów — dla wspólnego dobra.

Roman Rosiak

Mój pierwszy wieczór autorski

STYCZNIA 1921 roku, czterdzieści lat temu z górą. Sala Towarzystwa Muzycznego przy ul. Kapucyńskiej, „Dzień Polski”, wychodzący wtedy w Lublinie pod redakcją Tytusa Czaki, zapowiadając ten wieczór autorski „studenta uniwersytetu lubelskiego”, wyraził nadzieję: „Sądźmy, że inteligencja lubelska tłumnie pośpieszy, aby usłyszeć „młodego poe-ty”. I nie zawiodł się: widownia była wypełniona po brzoگی przeważnie przez młodzież uniwersytecką.

Widzę dziesiątki znajomych twarzy koleżanek i kolegów, uśmiechniętych życzliwie i dodających mi odwagi. Opanowuję zrozumiałą treść i zrazu drżącym głosem, a potem coraz pewniej, zaczynam czytać wiersze. Jeszcze wtedy nie wydałem swego pierwszego zbiorku. Drukowałem już trochę w pismach lubelskich, ale nie wyszedłem poza granice Lublina. I naprawdę wykazałem dużo cywilnej odwagi ośmielając się czytać swe pierwiociny publicznie. Bo zaledwie kilka z czytanych wtedy przeze mnie wierszy przeszło później do mojej debiutowej książeczki, która ukazała się w trzy lata potem. Ale ten występ był dla mnie też debiutem i próbierem wartości moich próbek. A wiadomo, że młodzi są niecierpliwi.

Oscylowałem wtedy między nastrojowością Młodej Polski a nowatorstwem „Skamandra”. Byłem już opanowany przez bakcyła poezji, pod wpływem Tuwima i Wierzyńskiego pisałem życiuchwalcze wiersze, wprowadzałem już do nich motywy techniczno-urbanistyczne, ale jeszcze daleko mi było do znalezienia własnej oryginalnej drogi.

Tak czy inaczej po godzinie dobrnąłem do końca, a przychylni mi koledzy nie szczędzili mi bezkrytycznych oklasków.

Ale nie o to chodzi. Ciekawa była reakcja na mój występ miejscowej prasy. Trudno to sobie dzisiaj wyobrazić, że skromny wieczór nieznanego studenta pierwszego roku humanistyki odbił się echem we wszystkich trzech miejscowych dziennikach i nawet wywołał polemikę.

Już w dwa dni później nie tyle dowcipnie, ile złośliwie zaatakował mnie w „Ziemi Lubelskiej” dyrektor Szkoły Zawodowej Janusz Mikietta. Słusznie zauważył dwa nurty w moich wierszach: „Do roku 1920 „poeta” pisał wiersze tak, jak czynią to wszyscy w tym wieku, Asnyk, Konopnicka, Tetmajer stali nad jego „poetycką” kołyską... „Ale w roku 1920 nastąpił w jego twórczości „przewrót”... „Poeta” jest według niego każdy, kto na cośkolwiek w życiu spojrzysz „poetycznie”... „Czego w tej poezji nie ma!

I ogiery, i skrzynki pocztowe, i Krakowskie Przedmieście... „Poeta postanowił ni mniej ni więcej tylko „rzucić książkę”, iść na miasto szukać „prawdziwych zdarzeń”, zdobywać własną moralność, być jak „człowiek, Bóg i zwierzę”... a że jest przy tym „stanowczy”, przeto ośmielał się zawołać głośno: Matki, miejcie bacność na córki wasze! Bo on poszedł na miasto robić „poezję”.

W dwa dni później w „Głosie Lubelskim” wziął mnie w obronę Tadeusz Bocheński, którego wtedy nie znałem jeszcze osobiście, a który z czasem stał mi się bliskim człowiekiem. W recenzji utrzymanej w formie dialogu (on i ona) uczynił aluzję pod adresem oceny Mikietty: „rzucić się dziś na młodego autora pseudodowcipnie a ordynarnie — to co najmniej dowód zarozumiałej powierzchowności, jeśli nie czegoś stokroć gorszego, bo niemoralniejszego”. A własny sąd o moich wierszach wyraził w słowach: „Skonstatowałem poprawność słownictwa i rymu, nie razita mnie rytmika, zauważyłem pewność siebie i jakie takie wysubtelnienie środków ekspresyjnych. Sądzę że młody poeta umie już patrzeć krytycznie na to, co pisze. Nauczy się patrzeć jeszcze krytyczniej, bo dziś jest bardzo młody i dopiero pójdzie w życie”. I przy końcu służył mi radą: „Pisz zwięźle, ale bogato, po prostu, ale ważko, niewyszukanie, ale świeżo, a będzie dobrze”.

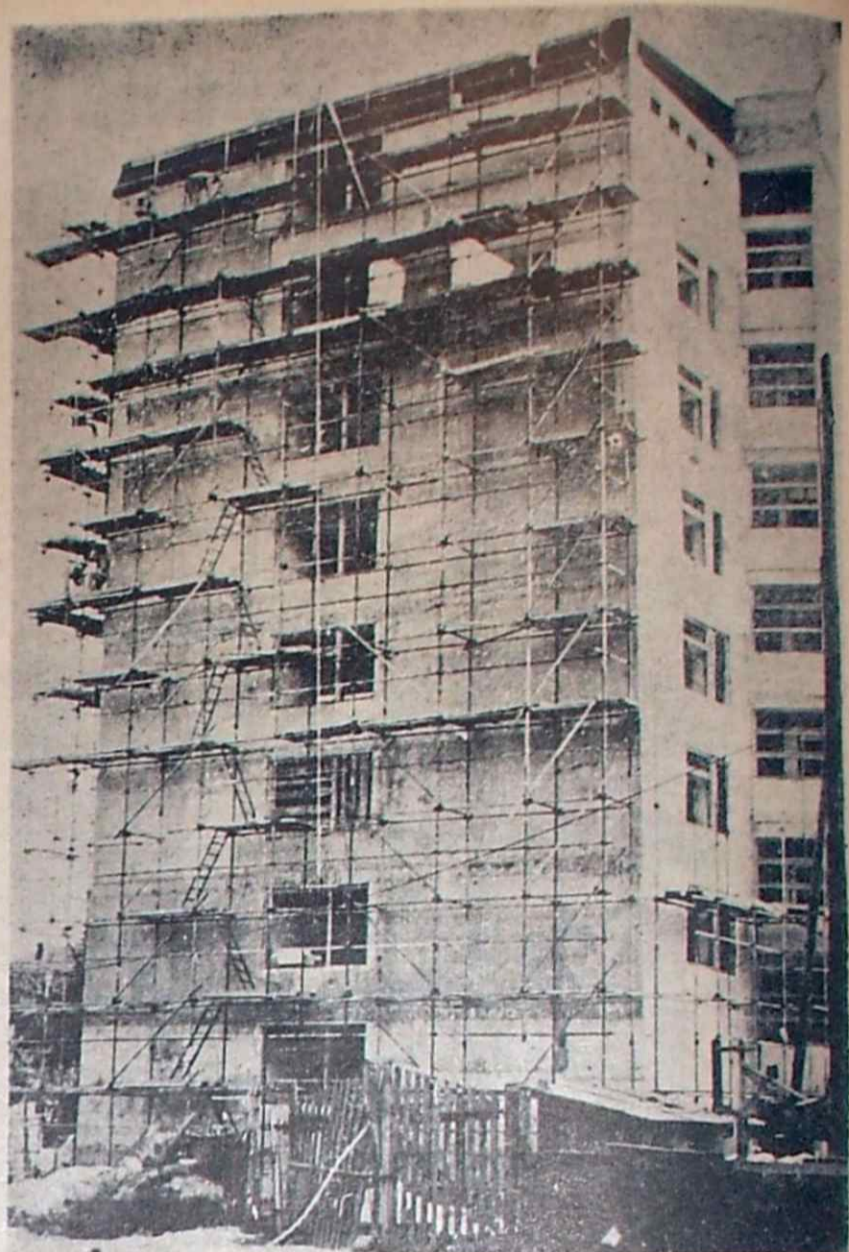
Recenzja Bocheńskiego pokrzepiła mnie na duchu. Wkrótce potem w „Dniu Polskim” zabrał głos mój kolega, nie żyjący już od trzydziestu lat Józio Rüdiger, podpisując się pseudonimem „Akademik”. Niestłusznie przypisał łatkę Bocheńskiemu: „Nie jestem ani krytykiem zawodowym, a tym bardziej literatem, ale przecież każdy zauważy, że żaden z naszych „wielkich” pisarzy lubelskich również nie jest naprawdę krytykiem. Bo od razu rzuca się w oczy, że jeden z nich wykpił autora, aby zrobić dowcip, a drugi też napisał, a jakże, nawet w odcinku, ale tylko dlatego, żeby delikatnie nawymyślać poprzedniemu”.

Na tym ucichło. Zdawało się, że dyskusja już została wyczerpana, gdy oto w trzy tygodnie (sic!) potem w „Głosie Lubelskim” wypowiedziała się jeszcze p. M. W. która w olbrzymim artykule, odpowiadającym objętościowo wszystkim trzem poprzednim recenzjom, poddała moje wiersze druzgocącej krytyce w obronie... moralności: „pragnienie autora, aby ugryźć się zębami w usta ukochanej i czuć lepki i słodkawy smak krwi... jest objawem patologicznym — sadyzmu”... „Autor jest epigonem dekadentów sprzed lat dwudziestu”... I kończyła patetycznie: „Wszystko, co napisałam, jest wyrazem mego szczerzego oburzenia... Gdzież są ci rycerze ducha, którzy mają obowiązek stać na straży u wrót świątyni sztuki i byle kogo do niej nie puszczają”.

„Byle kto” się rozsierdził i ostro replikował jeszcze w którejs z miejscowych gazet.

Tak to in illo tempore bywało w Lublinie.

X. Rovay



Ten punktowiec przy ul. Głębokiej w Lublinie jako pierwszy w Polsce jest pokrywany z zewnątrz tworzywem sztucznym (v. art. J. Dostatniego „Niepotrzebni Kolumbowie budownictwa”)

„PRZED WSZYSTKIM KMIOTKOWIE” są barbarzyńcami w stosunku do przyrody — konstatuje Jerzy Putrament w felietonie „Grzybny rok” („Przegląd Kulturalny” nr 37): oni „niszczą to, co rodzi grzyby, grzybnie, tę białawą pleśń pełzającą pod mechami po ziemi”. Ale widzi mi się, że i „mieszczuchy” tak samo nie szanują natury. Przynajmniej zaobserwowałem to będąc na Roztoczu. A już z pewnością nie „kmiotkowie” zaśmiecają lasy papierami, ogryzkami jabłek i pomidorów, pudelkami od papierosów itd. Po przeczytaniu tego felietonu nie mogę sobie odmówić przytoczenia tu wyznań Putramenta: „Od lat uciekam w przyrodę, przyjmuję ją jak lekarstwo, rezygnuję dla niej z wielu rzeczy i spraw wysoko notowanych na gładkiej ludzkiej próżności. Z całą świadomością i uporem buduję swój styl życia, w którym odgrywa ona naczelną rolę”. I jak temu nie przyklasnąć?!

TADEUSZ HOLUJ wrócił do wierszy. W „Nowej Kulturze” (nr 38) z zainteresowaniem przeczytałem oryginalny „Rajobraz z morzem” i humanistyczną „Odczyniecką”.

PRZEKŁAD MIESIĄCA — taką stałą miesięczną rubrykę poświęconą tłumaczeniom wprowadza „Nowa Kultura” w tym samym numerze. Pomysł bardzo pożyteczny, jako że problemy związane z przekładem, prasa na ogół rzadko porusza. Na pierwszy ogień poszły „Poezje wybrane” T. S. Eliota omówione przez Jerzego Site pod znanym tytułem „Traduttore — traditore”. Tylko że pierwszy wyraz pisze się przez dwa t: traduttore.

MATEMATYCZNO-FILOZOFICZNY „wiersz” Adama Macedońskiego „Człowiek liczy” („Przekrój” nr 85) byłby dla czytelnika bardziej oryginalny, gdyby „człowiek” przy pisaniu zamiast liter używał cyfr, a dla autora bardziej intratny, gdyby Macedoński przewyciężywszy pechową trzynastkę doliczył przynajmniej do tysiąca. Stanowczo wolę humor z zeszytów szkolnych.

NIEDYSKRECJE. Nie ustaniemy w walce o czystość języka. Prezentujemy tu nowe kwiatki, świadczące o niechlujstwie autorów pod tym względem: w „Świecie” (nr 37) wybitny pisarz używa w czasie przelotnej formy „Lubiał”, w „Życiu Literackim” (nr 38 str. 8) czytamy ze zdumieniem „tym nie mniej”, w „Przeglądzie Kulturalnym” (nr 37 str. 8) felietonista pisze: „trzymam zakład” (dierzu pari) zamiast: idę o zakład. A w „Przekroju” (nr 85) znany autor — „To nie zabawka a strzelba”.

-kaj-

Odpowiedzi Redakcji

Moli z Ustroni. Jak wnioskujemy z wiersza „Me serce umiera” autor ma dopiero 16 lat. W tym wieku prawie wszyscy marzą o tym, aby zostać poetami i próbują swego pióra. To, cośmy otrzymali, jest bardzo surowe. Stosunkowo może najlepsza „Brama”: „Wiele jest bram (Okutych mocną stalą). Trudnych do przebycia. (Ale najtrudniejsza z nich). To brama do ludzkich serc.” Myśl zresztą nie nowa.

Zbig. Jerz. w Warszawie. Zatrzymujemy „Don Juana”. Jeśli zamieszcimy, to nie przedko.

M. N. L. w Swidniku. Parodi nie drukujemy, tylko pastisz.



Klatka schodowa ostatniego z czterech punktowców przy ul. Unickiej.

NOTY

WZRUSZAJĄCE WSPOMNIENIE o Stanisławie Maykowskim, polonistce, poecie i inicjatorce powstania nowoczesnych wydawnictw polskich („Kraj lat dziecińczych”, „Miej serce” i in.) zamieszcil Jan Parandowski w n-rze 37 „Przeglądu Kulturalnego”. Autor słusznie domaga się wydania tomu poezji Maykowskiego rozsiianych po wielu czasopiśmiech i jego pamiętników, nad którymi sędziwy polonista pracował do ostatniej chwili.

TAJEMNICZĄ POLISZYNELA odważyła się wreszcie odsłonić w „Polityce” (nr 37) K. L. w artykule „Podarunki i obdarowani”. Obdarowani to oczywiście nauczyciele i kierownicy czy dyrektorzy szkół z okazji swych imienin, a podarunki — to danina dzieci, ściśle ich bardzo ubogich nieraz rodziców. Gorąco polecam wszystkim przeczytanie tych zwierzeń nauczycielki na temat brzydkich, obniżających godność nauczyciela obyczajów, które mimo obowiązującego zarządzenia o zakazie organizowania imienin zwierzchników mają jeszcze szerokie zastosowanie. Kapitalna jest puenta tego artykułu — auten-

tyczny głos jednej z koleżanek K. L.: „Nauczyciele nie chcą prezentów. To rodzice sami dają!”

„POZEGNIANIEM KOCHANOKÓW” w n-rze 38 „Życia Literackiego” zakończył Henryk Vogler swój cykl „Romans literatury”. A szkoda. Przecież motywy, które skłoniły go do pisania na temat miłości fikcyjnych postaci w książkach, a więc „przynęta, przy pomocy której starał się wciągnąć profanów w subtelne otchłanie literatury”, odkrył przed czytelnikiem „w romansach literatury całej bogatej gry życia” oraz „chęć spoufalenia czytelnika z literaturą”, ponieważ „wątek romansowy w utworze zbliża do literatury bardziej niż inne jego elementy”, — wszystkie te motywy nadal są aktualne. Przecież chodzi o „szerokie rzesze odbiorców nie mających dotąd pojęcia o bardziej wyrafinowanych smakach artystycznych”, o „prymitywnych koneserów”. Cykl Voglera pod tym względem spełnia rolę pożyteczną i powinien ukazywać się nadal, mimo iż „czasy są historyczne”. Swoją drogą przejrzenie dla przypomnienia choćby pobieżnie w ciągu każdego tygodnia książki potrzebnej do kolejnego felietonu przy innych pracach bieżącego Voglera było dla niego bardzo absorbujące. I kto wie, czy nie w tym właśnie tkwi główna przyczyna „pożegnania kochanoków”.